POCZĄTEK

1.

To wydarzyło się w wczesnym rankiem, kiedy świat dopiero co obudził się do życia. Kiedy słońce błysnęło słabym, czerwonym jak krew blaskiem i zalało nim Atar. Zapowiadał się piękny dzień. Tak piękny, że ktoś obserwujący lasy, wzgórza i kopczyki gór zasłaniające horyzont, słysząc świergot skowronków, mógłby się uśmiechnąć i powiedzieć swoim bliskim, że ich kocha. Że kocha cały świat. Taki widok napełniłby mędrców zachwytem filozoficznym, a dla ludzi zamieszkujących obozy byłby kolejnym powodem do święta.

Jednak tamtego nikt nie świętował. Nikt też się nie uśmiechał. Ani nie czuł zachwytu. Bo wtedy wydarzyło się coś strasznego. Coś, co wbiło nóż w serce Atar. Od tamtej pory zapanowała cisza. Grobowa cisza. I nawet niegdyś piękny śpiew ptaków nie był już w stanie jej zagłuszyć.

2.

Noc.

Uklękwszy nad przepaścią, Jimmy napiął cięciwę i skierował grot strzały w Białego Kruka.

Ten spoczywał na cieniutkiej gałązce jakiegoś wysokiego drzewa i nieruchomo wodził wzrokiem po wzgórzach, przykrytych dywanem ciągnących się na północ lasów. W Atar zjawił się pierwszy raz od roku. Jimmy ledwo wierzył, że udało się mu go wytropić. Oczywiście z pomocą doświadczonego myśliwego, prawdziwego mędrca Atar, ale nawet jego wsparcie grało niewielką rolę, w tym, co Jimmy zdołał dziś osiągnąć. Zwłaszcza, że Biały Kruk to niezwykle płochliwa zwierzyna, a Sztuka Latania przysparzała wiele trudu.

- Jak go ustrzelisz, to dostaniesz się na Ogniste Podium. Wtedy już będziesz mógł polować samemu, a nawet obmyślać plany łowów, i podróży. Krótko mówiąc będziesz…. miał wiele spraw na głowie, chłopcze. Przyda ci się dodatkowy trening medytacji, żeby to wszystko później ogarnąć. - oznajmiła postać schowana z tyłu, za plecami Jimmiego. - Ale… ciekawe czy ci się uda. Dla mniej łatwiej by było ustrzelić jaja komara. - westchnął. Jimmy poczuł, że wzbiera w nim zarówno złość, jak i ochota, by się roześmiać. Na szczęście opanował się, na tyle, by odpowiedzieć stonowanym głosem:

- Czy mógłbyś...na chwileczkę… zamilknąć?

- Tak. Oczywiście.

Teraz Jimmy skoncentrował się na oddechu. Wczuł się w ciszę. Wytężył wzrok. Oprócz tego wytężył również swój umysł. Pozwolił wszystkim myślom i odpłynąć, tak jak nakazywały techniki zen i pradawna Sztuka Latania.

Biały Kruk zatrzepotał skrzydłami. Jimmy obawiał się, że Kruk zaraz zniknie z pola jego widzenia. Nie odleci, jak zwyczajne ptaki. Białe Kruki znikają. Człowiek jest wstanie tylko widzieć, jak nieruchomo warują nad światem, ale nie dostrzeże ich w locie.

Dłonie Jimmiego zadrżały. Wypełnił je zimny niepokój.

Skup się. Masz mało czasu. Skup się na Sztuce...Latania.

Zaczerpnął głęboki oddech i zatrzymał powietrze w płucach. Jak puści strzałę będzie po wszystkim. Po wszystkim.

Dlatego też puścił ją i odetchnął. Strzała zniknęła z pola widzenia. Kruk również.

- Cholera!

- Ciszej bądź, bo jeszcze zbudzisz jakąś Krwawą Zmorę, czy innego latającego drapieżnika z gównianą nazwą.

- Jezu, było tak blisko. Brakowało zasranego centymetra…

- Uspokój się. - orzekł Charles. - Wracajmy.

Jimmy postarał się przynajmniej nie wpaść w szał.

3.

Przedarli się przez ścianę chwastów i krzewów, uzbrojonych w kolce, zeszli po kamiennym zboczu, które Charles określał ,,Dupą Przepaści'', a potem ruszyli wąwozem, prowadzącym w głąb lasu. Ciemnego lasu.

Jimmy gniewnie wyrzucał z siebie takie słowa, jak ,,Jestem głupi'', czy ,,Nie poszło mi, powinienem rzucić się z tej przepaści''. Charles zaś ignorował go i wsłuchiwał się w pomrukiwanie świerszczy, uważnie śledząc wzrokiem słupki drzew i wypatrując w nich jakiejś Krwawej Zmory, czy też, Bezgłowego Drzewo Koła, znanego ze swoich makabrycznych, co nocnych łowów. Póki co jednak Makrometr wykrył jedynie drobne oscylacje widma, czyli żadna Krwawa Zmora nie miała prawa się tu zjawić. Ale zawsze lepiej dmuchać na zimne i zachować czujność. Bo Krwawe Zmory należą do złych stworzeń. Bardzo złych.

- Czemu nigdy mnie nie wesprzesz?

- Co? Przecież łaziłem z tobą po lesie przez cały dzień. Następnym razem wyślę z tobą Marine, to może docenisz znaczenie słowa ,,Mędrzec''.

- Och, boże nie chodziło mi o to. Pytałem, dlaczego nigdy nie powiesz, że dobrze mi poszło.

- Bo nie poszło ci dobrze. Poza tym, sam o tym zdecyduj. Ja nie jestem jakąś wyrocznią, żeby ciebie karać, czy chwalić. No może trochę. Ale tego nie robię. Do tej pory tylko ty siebie poniżasz. Nikt inny. Może spróbuj czegoś innego, na przykład… milczenia? Wtedy oboje bylibyśmy zadowoleni. Ty przestałbyś przyjmować ciosy, a ja mógłbym posłuchać tej przyjemnej pieśni lasu.

- Łatwo ci to powiedzieć, co? Kiedy w biegu potrafisz rzucać maczetą na trzysta metrów i trafiać zwierzynę. Dodatkowo z zamkniętymi oczami. Poza tym, nie rozumiem po co nam te łuki… nie moglibyśmy używać na przykład broni? Tej prawdziwej? Na przykład tej na Uran? Z celownikami?

- Nie potrafię rzucać maczetą na trzysta metrów i trafiać zwierzynę dodatkowo z zamkniętymi oczami, jak to powiedziałeś. Nie wiem, skąd to wymyśliłeś. Po pierwsze, to potrafię rzucać maczetą tylko na trzydzieści metrów i to przy dobrych warunkach, kiedy Sztuka Latania się sprawdzi. Czasem trafiam zwierzynę, czasem nie. Ale...oczy mam zamknięte, z tym się akurat zgodzę. No i z tym, że w biegu, to też nie zaprzeczę.

- Jesteś złośliwy.

- Wcale nie. Chociaż...niech pomyślę...No chyba jednak tak.

Jimmy zaśmiał się, mimo okrutnego faktu, że dzień poszedł na marne, zwierzyna uciekła i wróci za kilka lat, jeśli wogóle jeszcze jakieś Białe Kruki będą istnieć, a on nie uzyska Ognistego Podium, dla którego poświęcił ostatnie miesiące. Pewnie zdobędzie je jakiś inny dzieciak z Golden River. Taki bardziej utalentowany, co nie chybi i potrafi się zmobilizować. No i nie potrzebuje wsparcia.

- W twoim wieku zajmowałem się czytaniem książek i przeczytałem ich naprawdę sporo. Z ich pomocą całkowicie opanowałem Sztukę Latania, zanim wogóle pomyślałem o polowaniu. To bardzo trudna dziedzina, musisz znać sporo teorii, zanim wogóle chwycisz łuk w dłonie. A tym bardziej, jeśli chcesz obsługiwać jakieś...jak ty to nazwałeś? Uran? To się nazywa Rubin. Reaktywny Uran Bromowo-irydowo Neonowy. Bardzo niebezpieczny związek chemiczny, zawarty w naszych działkach. Jakbyś strzelił nim do zwierzyny…, to nie byłaby zdatna do spożycia. Nawet nie mógłbyś do niej podejść, bo zatrułbyś się dymem. Rubin stosuje się przeciwko Wiecznej Straży i Makropromienistym Drapieżnikom.

- Makro...jakim?

- Bardzo dużym Drapieżnikom, dla których twój grot strzały jest równie bolesny jak spadająca z nieba kropelka deszczu.

Jimmy wyobraził sobie sytuację, w której szerszeń wielkości skały podlatuje do ich domu w Golden River, a potem próbuje dostać się do wewnątrz, rozłupując ściany półtora metrowym żądłem. Telepoczocze skrzydłami, wywołując przy tym silny wicher i targa ziemią, wprawiając ją w wstrząsy.

Odsunął od siebie ten obraz i powrócił do rzeczywistości. Poniekąd była ona równie mroczna. Szczególnie ciemne wyrwy, które rozdzierały pień każdego drzewa. Czy naprawdę panowała w nich tylko ciemność? Zwykły brak światła? Czy może coś jeszcze? Coś kolczastego, z widłami w postaci zębów?

- Sądzisz, że coś tam na nas czeka? Mam na myśli…

- Nie. Makrometr siedzi cicho, więc nie.

Pokonali już tę część lasu, na której rosło najwięcej drzew, blokujących drogę księżycowemu światłu. Teraz znaleźli się pośród moczar i trzęsawisk, otoczonych solidnymi akacjami i kopczykami kolczastych krzewów.

- Uważaj na nogi. W bagnach mogą czaić się Nurfiny. Kiedy nastąpisz na ich teren, w najlepszym wypadku odgryzą ci nogę, a w najgorszym zjedzą nas obu. Powoli. One się delektują.

Jimmy wzdrygnął się. Owiał go chłód.

Z plecaka zawieszonego na ramieniu Charlsa dobył się cichy, miarowy brzęk. Powtarzał się w rytmie ich kroków.

Charles przystanął i złapał Jmmiego za ramię. Jimmy zatrzymał się. Spróbował się poruszyć, ale nacisk dłoni był zbyt silny. Zdał sobie sprawę, Charls wysilił się tylko odrobinę, by wykonać ten ruch. Ta świadomość dodała mu otuchy i bezpieczeństwa.

- Co się dzieje?

Twarz Charlsa przybrała inną barwę. Mleczną, jakby nienaturalną dla tego człowieka. Jimmy zaniepokoił się.

Charles bardzo powoli zdjął z ramienia plecak i położył go na piaszczystym podłożu. Brzęk stawał się coraz głośniejszy. Charles wysunął wskazujący palec do góry i przytknął go do swoich ust. Jimmy zrozumiał.

Następnie człowiek, ogromny jak pień drzewa, ukląkł i wyjął z plecaka kwadratowe urządzenie, zakończone podłużną, migającą niebieskim światłem, antenką.

Na przedniej stronie Markometru widniał monitor. Jarzył się słabą, niebieskawą poświatą i ukazywał jakiś wzorzec. Jimmy odczytał tylko ,,Skrajny…''. Dalsza część słów i symboli była zbyt mała, by mógł dowiedzieć się, co oznaczają.

Ale wiedział jedno. I to chyba mu wystarczyło. Wielki jak pień człowiek przeraził się.

4.

Szli. W mroku. Ich kroki rozbrzmiewały w akompaniamencie cykania świerszczy. Odbijały się od drzew i niknęły w ciszy.

Jimmy podążał śladem Charlsa i trzymał się blisko jego boku, na wszelki wypadek, gdyby coś wyskoczyło zza drzewa i postanowiło ich zjeść na kolację.

Wszyscy w Golden River byli przekonani, że Charles umiałby zgnieść kamień, jeśliby tego zapragnął. Ale nawet tacy ludzie posiadają granicę. Każdy ją posiada. I o tym również wszyscy wiedzieli. Tylko Jimmy chwilowo w to nie wierzył. Próbował odgonić prawdę. Zostawić głęboko, pod pokrywą podświadomości.

Koncentrował się na Sztuce Latania. Każdy oddech trwał wieczność.

Już raz to się wydarzyło. Już raz ich zabili. Brada i Lisę. Zabili ich. Pożarli. Pewnie...pewnie cierpieli. Przecież Krwawe Zmory znali tylko z książek. Rzadko się pojawiają. A jednak się pojawili. Jakby nie mogli żywić się czymś innym. Jakby nie mogli ich zostawić. Przecież oni byli...tylko...dziećmi.

Spojrzał w dal. Dróżka zakręcała w głąb chaszczy i znów, tworząc strome wzniesienie, pięła się do góry, wzdłuż chylących się ku dołu gałęzi. *To ich dłonie. Zaraz mnie dotkną. Zaraz chwycą mnie i porwą w głąb, a Charles nie zdąży zareagować. Bo ma granicę.*

Minęli strome wzniesienie i nic strasznego się nie stało. Oprócz tego, że Jimmy prawie wrzasnął, kiedy

wiatr lekko poruszył gałęziami starego buku.

Kolejnym punktem orientacyjnym, którego Jimmy dobrze pamiętał z treningów poprzedzających ten dzisiejszy, okazała się zniszczona, zasypana żwirem i zagracona gałęziami studnia.

Tam przerwali wędrówkę. Jimmy skupił wzrok na wielkim konarze, przygniatającym górę gruzu, kamieni i pyłu. Częściowo odsłaniały dół studni. Jego głębokość wynosiła być może kilka metrów, ale Jimmiemu coś podpowiadało, że tunel wydłużył się i prowadzi do jądra ziemi. I, że na pewno mieszkają w nim jakieś Krwawe Zmory.

Wczoraj rano biegł tędy razem ze Mikey'em, Georgem i Andreą w ramach testu wytrzymałości. Okrążył studnię kilkanaście razy i korzystał z niej przy każdej drobnej przerwie. Woda była wtedy świeża i smaczna.

Charles klepnął go lekko w ramię. Jimmy odwrócił się, uważnie śledząc wyraz jego twarzy i ruchy dłoni. Charles wskazał palcem na swoje oczy. Jimmy dostrzegł w nich skupienie i determinację. Chyba pojął, czego Charles od niego oczekuję.

Skierowali się na przód. Zostało im niecałe kilkaset metrów, aż w końcu opuszczą las, rzednący u stóp polany. Niecałe kilkaset metrów. Wszystko pójdzie dobrze. To tylko chwila, prawda? A one mijają szybko.

Tylko, że wtedy pojawiło się to. Kształt. Postać. Czy cokolwiek innego. Jimmy nie wiedział, jak inaczej to określić. Dla niego ta postać była czystym strachem, który wypełzł z jego ciała i przybrał rzeczywistą formę, materializując się tuż obok niego. W chaszczach. Tych ukrytych między drzewami.

Najpierw usłyszeli szelest. Zatrzymali się. Makrometr eksplodował w plecaku Charlsa. Jimmy wydał z siebie zduszony wrzask, na dźwięk brzęczenia i uderzeń alarmu. Jakby Makrometr był żywą istotą i właśnie zaczął krzyczeć ze strachu.

Oboje stali, otępiali i sparaliżowani. Czy powinni się odwrócić i uciekać? Otóż to. Wbijając wzrok w wirującą chmurę dymu byli bezradni, jak dzieci przywiązane konopnym sznurem do drzewa.

Obłok unoszący się w powietrzu, wprawiając liście w drżenie, posuwał się naprzód. Jego powłokę smaliły płomienie, od których buchały iskry i wyładowania elektryczne. Takie same Jimmy obserwował podczas burzy, kiedy widlaste pioruny spaliły las i wioskę, zabijając przy tym rodzinę jego wujka. Odniósł wrażenie, że tamta burza zeszła teraz na ziemię i oto stoi przed nimi.

W jej wnętrzu, w tornadzie mgławic i chmur, jarzyła się kula czerwonego ognia. Spoglądała prosto w umysł Jimmiego, niczym oko jakiegoś boga. Pod jego spojrzeniem Jimmy poczuł się nagi, nie tylko cieleśnie, ale także psychicznie. To oko zdjęło barierę i zajrzało tam, gdzie do tej pory potrafił zajrzeć tylko on, a nawet odkryło coś, czego Jimmy nie znał i nie chciał nigdy poznać.

Potem istota zaczęła się oddalać, powoli, cały czas rażąc ich swoim spojrzeniem.

Jimmy odzyskiwał siły, w miarę jak istota niknęła w mroku.

Czy dowiedziała się czegoś? Czy wróci do nich, żeby wyssać z nich wszystko, co mieli we wnętrzu? A może będzie ich śledzić, aż dotrą do Golden River?

Przypomniał sobie, że wśród połaci zbóż mieści się brama do Golden River. Kamienna, zabezpieczona kodem dostępu, ładunkami wybuchowymi, fosą wypełnioną żrącym kwasem i dziesiątkami strażników na warcie. Każdy z nich taszczy w pełni naładowany i gotowy do ataku Rubinowy Karabin.

Ktokolwiek obcy by się zbliżył...ktokolwiek odważyłby się choćby cisnąć w mur kamykiem, zmieniłby się w pył.Oczywiście znalazły się wyjątki. Wyjątki, które nie zmieniają się w pył. I burzą mury, nawet te najtwardsze. Tym wyjątkiem była Wieczna Straż, która zjawiła się wczesnym rankiem.

Jimmy i Charles wracali w ciszy i osłupieniu. Makrometr również wydawał się zszokowany. Na szczęście milczał i to była dobra wiadomość. Wręcz bardzo dobra.

Po kilkunastu minutach pierwszy raz odezwali się do siebie. Tak rozwinęła się dyskusja, pełna pytań i braku odpowiedzi. Oboje bali się. Ale nie panikowali. Bo Makrometr też nie panikował.

Po dłuższym czasie rozmawiali już o tym, co zrobią jutro. Może znów wyjdą na polowanie? Może zagrają w Kamienną Zagadkę? A może Jimmy spotka się ze swoimi przyjaciółmi i pośmieją się razem? Wtedy dzisiejsza noc uleci szybko z jego pamięci. Jakby nigdy jej nie było.

Nikt z nich jednak nie przewidział tego, co naprawdę się stanie. Bo złe wydarzenia mają to do siebie, że przychodzą nagle. I burzą mury.

5.

Dotarli do Golden River. Noc trwała, ciemności gęstniały, a dźwięki zamierały.

Strażnicy obdarzyli ich jak zawsze czujnymi spojrzeniami, mimo tego, że znali ich twarze od lat. Przepuścili ich przez zwodzony most. Jimmy rzadko opuszczał obóz i równie rzadko przechodził przez chwiejną, drewnianą nakładkę, patrząc w dwudziestometrową przepaść, u której dołu płynęła rzeczka, wypełniona żrącym kwasem. Zastanawiał się, ilu ludzi musiało tam ugrzęznąć podczas ataków. Ilu ludzi potknęło się o własne nogi i zleciało w ten bezmiar? Albo, ile razy ta cienka, drewniana nasada pękła pod ciężarem walczących, zwalając ich na sam dół?

Przeszedł go dreszcz. Szli dalej.

Minęli wszystkie zabezpieczenia, bramy i strefy ochronne, aż w końcu znaleźli się we wiosce. Kwadratowe, identyczne kopie malutkich domków ciągnęły się w dal, tworząc symetryczne, równe rządki. Wśród nich rozchodziło się łagodne światło lampionów, umocowanych przy kamiennych dróżkach i szerokich traktach. Ten ciepły blask w pewnym stopniu uspokajał Jimmiego, uprzytomniając mu, że to, co spotkało ich w lesie już dawno odeszło. Nawet jeśliby zechciało wrócić, to jakimś cudem musiałoby powstrzymać pięćdziesięciu strażników, w tym setki tysięcy kul uranowego ognia.

Zmierzali ku Golden River. Do placu wyłożonego brukowymi stopniami, zwieńczonego pomnikiem Wiecznych. Dla niektórych ów pomnik stanowił formę boga, dla innych był po prostu głupim przesądem, ale większość traktowała go z powagą. Jimmy z trudem pojmował ich wierzenia, zwłaszcza te bajeczki, że pomnik przyniesie szczęście i dobrobyt, kiedy codziennie rano się przed nim ukłoni. Oczywiście i tak się kłonił, bo jego przyjaciele tak robili. Może dawało im to jakąś nadzieję? Bo w Golden River czasem jej brakowało, mimo obecności kilkudziesięciu strażników i solidnego muru. Bo głodu i chorób nie da się pokonać wystrzałem z karabinu, a przed nimi nie uchroni nawet góra kamienia.

- Słyszysz?

Jimmy zerknął na Charlsa i rzucił mu spojrzenie, mówiące: „Co znowu''?

- Muzyka...

Wytężył słuch. Gdzieś w oddali, w kierunku, w którym pięły wszystkie domy, rozpływały się dźwięki…

Skrzypce...bębny...gitara...śpiew…

Pod stopami czuł, że marmurowe płytki drżą.

- Całe miasto tańczy? Co się dzieję?

- Plony. Dobre plony. Będzie jedzenie. Koniec głodu. Świętujemy.

- Skąd wiesz?

Charls przystanął i wskazał palcem w sklepienie kilku wysokich, ceglanych budynków. Na maszcie każdego z nich ktoś rozwiesił białe flagi z rysunkiem jelenia. Falowały na łagodnym wietrze.

- To jakiś żart. Oni przecież nie mogli…od prawie trzech miesięcy panuje tu susza. Wierzysz w to? Może… może Władzę zwariowały z tego głodu i przez przypadek, zamiast...nie wiem, posprzątać ulice z trupów, rozwiesili flagę?

Charles spojrzał na niego, a to spojrzenie przekonało go, że chyba on sam zwariował.

- I co? Nikt im tego nie powiedział? A ludzie grają muzykę i tańczą..bo co? Bo umierają z głodu?

Wznowili marsz.

Jimmy uśmiechnął się. Wyobraził sobie, że spotyka przyjaciół w centrum miasta. Że wita się ze swoją matką, która wreszcie przestanie cierpieć. Wyobraził sobie ich uśmiechy i radość, którą wszyscy wyrażą, tańcząc, śpiewając i opowiadając głupie żarty, zakończone falą śmiechu. Wyobraził sobie swojego brata, który trzyma w dłoniach łuk i prosi, żeby wyszedł z nim jutro na zawody strzeleckie. Wyobraził sobie swoją dziewczynę…

Coś przeleciało ponad dachami domostw, zasłaniając księżyc. Coś uderzyło w wieżę obserwacyjną, eksplodując i zmieniając ją w górę smolistego pyłu i gruzu, roznosząc wokół jęzory ognia i trawiąc budynki. Coś huknęło i błysnęło, przebijając się przez domy, burząc ściany i rozbijając okna. Burząc mury. Coś wybiło dziurę w ziemi i zabiło kilku ludzi. Potem kaskada eksplozji toczyła się bez końca. Oni uciekali. Uciekali, przez pył, kurz, krew i strzały. Przez ból, płacz i wrzask.

Muzyka się skończyła. Śmiech się skończył.

Nastał ogień i krew. Jimmy już nic więcej nie pamiętał.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z

dnia 4 lutego 1994r.).

PrzemeK155J, dodano 05.11.2019 09:18

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.